Nr. 4 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | **We Lwowie, 16 lutego 1930** **Rok 52**

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					▌15	■	■	15▌				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

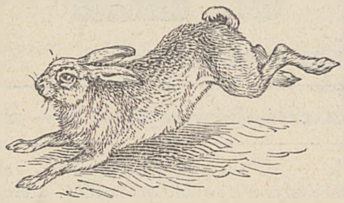
Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie*), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Dla odświeżenia krwi

żywe zające, tak polne jak i leśne, kuropatwy, bażanty, sarny, jelenie

oraz inną zwierzynę, łowioną na wolnych terenach we Węgrzech, Czechosłowacji, Jugosławji, Austrji, najlepszej jakości i nadającej się świetnie dla hodowli oraz odświeżenia krwi oferuje firma



R. NERLICH, Bielsko — Śląsk

FUNDACJA

IM. ABRAHAMOWICZÓW

podaje do wiadomości, że z dniem 1 września 1930 uruchamia we Lwowie swój Zakład Wychowawczy dla synów zubożałych ziemian. — Przyjmowani będą kandydaci w wieku od lat 10-ciu do 15-tu. — O bliższe informacje i warunki przyjęcia należy się zwracać pisemnie do Fundacji we Lwowie, ul. Potockiego 48, najdalej do dnia 15 marca 1930 roku.

KURATOR FUNDACJI
DR ROMAN ZALESKI

MARJAN KAFKA i ALBERT SZKOWRON

LWÓW, KOPERNIKA 3 — **LWÓW, KOPERNIKA 3**

Handel towarów kolonjalnych, win, delikatesów etc. połączony z pokojami do śniadań i restauracją poleca dla P. T. Panów Myśliwych różnorodne konserwy mięsne i rybne — wina — wódki — likiery etc. po możliwie najniższych cenach — kupuje zaś wszelką dziczyznę po najwyższych cenach rynkowych

---

ŻYWĄ ZWIERZYNĘ

DLA ODŚWIEŻENIA KRWI

sprzedaje

Małopolska Hodowla Zwierzyny w Łukawicy

poczta STRYJ — **Żądać cenników**

SZCZOTKI WSZELKIEGO RODZAJU
ARTYKUŁY DOMOWO-GOSPODARCZE

poleca

LUDWIK HOSZOWSKI

LWÓW, AKADEMICKA 3 Tel. 6-69

---

3 WILKI za pomocą przynęty PATO!



chwycił Sz. P. Kap. Ostrów-Siedlecki k. Lubartowa, woj. lubelskie. 1/3 ltr wystarcza dla 10 lisów, tchórzów, kun i t. d. Przynęta przyciąga dziczyznę pierwszej nocy do pułapki. Skutek pod gwarancją. Sposób użycia przy każdej przesyłce.

1/3 ltr butelka PATO 10 zł., 3 butelki 25 zł

oraz pułapki, oryginalne Greell 11 B. po cenie 20 zł za pobraniem

WYTWÓRNIA PATO, PAWEŁ TOMASZEK,

TEL. 96 — **WODZISŁAW, G. ŚLĄSK** — **TEL. 96**

Do nabycia w Biurze M. T. Ł., Lwów, ul. Ossolińskich 3 III p.

Ansion Kazimierz: Dziennik myśliwski . . . zł. 3·60
Ejsmond Juljan: Kalendarz myśliwski na 1929 r. „ 4·—
Kobylański J. Wł.: Humor i łacina myśliwska „ 1·50
— O dawnych i obecnym zwierzyńcu w Krakowie 1·50
— Jak powstał w odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie . . . „ 3·—
Krogulski Seweryn: Pół Wieku . . . . . „ 3·—
Mniszek Albert: Jarząbek . . . . „ 3·—
Orski St. W.: A było to wczas rano . . . „ 6·—
Sztolcman Jan: Żubr . . . . „ 3·30
Sztolcman Jan: Nad Nilem niebieskim . . . „ 6·—
— Jak unikać wypadków z bronią . . . „ 0·25
Ustawa Łowiecka . . . . „ 0·80
Wodzicki hr. Kazimierz: Wspomnienia z życia łowieckiego . . . . „ 3·50
— „Słonka” . . . . „ 2·50
Ziembicki Witołd: Jan Sobieski jako myśliwy „ 1·80
— Bibljografja prac K. hr. Wodzickiego . „ 1·50

z doliczeniem opakowania i porta

RUTYNOWANEGO leśniczego, bażantarnika (specjalistę) z 27-mio letnią praktyką, polecam. **Leśnictwo Antoniów,** Przyrów per Juljanka.

PSY OWCZARKI PODHALAŃSKIE po pierwszorzędnych rodzicach, w różnym wieku, ma na zbyciu: **Bogusław Sokołowski,** Insp. Hodowli, **Nowy-Targ,** Rada Powiatowa, Rynek 4.

SPRZEDAM podwójny ekspres hamerles Cal. 450. Towarzystwo Łowieckie, **Sanok.**

Z POWODU PRZEPROWADZKI SPRZEDAM: 1 angielską seterkę w trzecim polu, 1 angielską pointerkę w drugiem polu, pierwszą za 300 zł, drugą za 200 zł. Obie suki bardzo dobrze ułożone.

Jan Sawicki
Dom sukowy, poczta Kruszwica Wielkopolska

TREŚĆ NUMERU 4:

Nr. 4 We Lwowie, 16 lutego 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Wschodnio - środkowa Afryka)

III

Kozioł wodny — kozioł trzcinowy (trzcinnik)

Ciąg dalszy

„Niakozwe" żyje zasadniczo w małych stadach od dziesięciu do piętnastu sztuk, ze starym bykiem-leaderem. Młodsze, ale już dojrzałe byczki, a nawet szpiczaki nie mają przystępu do stada. Przepędzane przez zazdrosnego pana haremu — włóczą się samotne.

Każde stado — stosownie do konfiguracji terenu — zajmuje pewien rejon z odpowiedniem żerowiskiem nad wodą, jako stałe swe miejsce pobytu, do którego ma również stałe swoje przejścia. Zazwyczaj prowadzą owe ścieżyny poprzez wysokie trawy i trzciny, gdzie zwierz ukryty przed ciekawem okiem ludzkiem, może dostać się do żerowiska w dowolnej porze dnia, i tam swobodnie się poruszać.

Ale przychodzi okres palenia traw; po pożarach równina z owemi pastwiskami została odsłonięta. Spostrzega stary byk-przewodnik, że nie jest sam tylko ze swoją świtą. Jakieś dwunożne istoty zjawiają się to dziś, to jutro — w obrębie jego państwa. Częste ich wędrówki na krańcach równiny wybiły widoczną dla oka drożynę. Woń ich ciał, którą mu niesie wiatr, niemile drażni jego czułe nozdrza. Przyjaciel, czy wróg — ostrożność radzi zejść im z oczu. Zmienia swój tryb życia; posłusznie dostosowuje się do niego jego harem, zrobiwszy te same spostrzeżenia.

Od tej pory przestaje żerować w ciągu dnia; nie chce być na widoku. Przez dzień ukrywa się w najbliższem zagajeniu, w oazach traw i trzcin ocalałych z pożogi, a w pobliżu gór — na pierwszych stokach, o ile jakotako są zadrzewione. Ale w pobliżu swych żerowisk jest ciągle; z obawy, aby inny kozioł, amator soczystej „mabande", pastwiska jego nie objął w posiadanie — czuwa nad niem.

Na paszę wychodzi teraz pod zachód słońca i żeruje nocą, skąd z pierwszym brzaskiem dnia powraca do swojego ukrycia. Spacer jest krótki, bo rzadko zapuszcza się dalej ponad kilometr od stałego żerowiska.

Całkiem inaczej zachowuje się na bezludnych a rozległych równinach, gdzie pastwisk jest wbród. Tam żyją, tak jak on — dziesiątki stad „Niakozwe", nie włażąc sobie w drogę. Istot ludzkich prawie nie zna; a gdy czasem intruz jaki — przechodzień lub myśliwy je zaniepokoi, to wśród morza traw i trzcin wysokich — mogą zniknąć mu z oczu, jak kamień w wodę rzucony.

W takiej okolicy żeruje przez cały dzień.

Lecz kiedy człowiek tylko podczas dnia jest dla niego niebezpiecznym, to nocą grozi mu niebezpieczeństwo od

lwa i lamparta. Licząc się z tymi stałymi wrogami, obok których mu żyć wypada, musi wyszukiwać ciągłe środki ostrożności. Jeszcze przed zapadnięciem nocy wynosi się na miejsce więcej odkryte, na boiska z wytłoczoną naokół trawą, gdzieby go drapieżca nie tak łatwo mógł zaskoczyć — i tam noc spędza.

Gdy wreszcie pożary stepowe zniszczą jego zwykłe kryjówki dzienne, a z wzrastającą posuchą pokurczą się pastwiska, musi kozioł wodny ze swojem stadem trochę wędrować, aby znaleźć paszę. Na rozległych równinach jest gdzie poszukać. Ponieważ ten sam los spotkał i inne stada, więc zdarza się, że jednego, pięknego poranka schodzi się kilka, czasem kilkanaście stad na jednem żerowisku.



Kozioł trzcinowy (trzcinnik)

I cóż się dzieje? Pokorniejszy, bo głodny — nie staje do walki o pastwisko; z wyrozumiałością znosi bliskie sąsiedztwo innych byków, co więcej — brata się z nimi. Po pewnym czasie, w śród stad w ten sposób do siebie zbliżonych, następuje przegrupowanie. Stare byki, ojcowie rodzin, łączą się w jedno stado, pozostawiając swe haremy ich własnej przedsiębiorczości. Jak na słomianych wdowców przystało, spacerują teraz osobno w najlepszej zgodzie.

Wypuszczone z pod rygoru i opieki łanie i cielęta zamiast pójść w ślady swych dawnych opiekunów — starych byków, zaczynają prowadzić żywot na własną rękę, każde stado dla siebie. Nowi opiekunowie w lot się znaleźli. Są to młode byczki, które do tej pory samotnie chadzały, a do klubu słomianych wdowców nie zostały dopuszczone.

Nastały dla nich lepsze czasy. W poczuciu, że stali się teraz panami w opuszczonych, tak niegodnie, stadach, zaczynają dyskretny flirt z łaniami-matkami. Umizgają się także do łań-podlotków, aby uzyskać ich afekty, gdy przyjdzie czas na właściwe oświadczyny. Aby uniknąć konfliktów z innemi byczkami w stadach pędzących podobny żywot, starannie je omijają, omijając również stare byki, jakkolwiek one, jakby nie zdawały sobie sprawy z tego, co się w ich rodzinach dzieje, obojętnie na to patrzą.

Ten stan rzeczy jednak nie trwa długo. Nadchodzi pora ulew letnich. Padł pierwszy deszcz — step się zazielenił. Zielonej paszy jest już wszędzie wbród. Obfite pożywienie wzmacnia siły głodujących od czasu do czasu zwierząt. Stare byki zaczynają się niepokoić. Znudziło się im dotychczasowe życie przy wspólnym stole, rozchodzą się po stepie.

Czy im nagle przyszły na myśl ich opuszczone rodziny, czy może sposobność zadzierzgnięcia nowej znajomości w świecie nadobnych łań — któż to może odgadnąć?! coś ich gna i pędzi; szukają...

Samotność — to wieczna tęsknota!

Stary byk wiedziony teraz tem uczuciem, zbliża się do tego, lub owego stada. Został jednak już wyprzedzony; jest tam przodownik — silny byk, z którym nie może się mierzyć. Odpędzony groźnem natarciem tegoż, idzie dalej. Tu i tam to samo. Podjął wreszcie walkę, jak mu się zdawało, ze słabszym przeciwnikiem, ale nie znalazł powodzenia.

Rozgrzany walką, wściekły na swój los, chce przynajmniej odbić swój dawny harem, choćby mu przyszło stoczyć bój na śmierć i życie. Wałęsając się z miejsca na miejsce, szuka jeszcze.

Aż oto pewnego dnia wiatr przynosi mu w jego wyciągnięte wprzód nozdrza, znajomą woń. To jego harem!

Idzie za węchem; jest już blisko. Rozpoznają go jego dawne towarzyszki. Podchodzą, wszak to ich dzielny przodownik. Chcą mu pozostać wierne, bo nie zaimponował im wcale młody byczek-natręta, który na widok rywala, dyskretnie wtył się cofnął.

Chwilę tylko nieruchomie przypatruje się temu stary byk. Nagle sapnął głośno, zniżył głowę i z nastawianemi do pchnięcia rogami — rzuca się pędem w kierunku intruza. Ale ten — mając młodsze nogi, a słabsze muskuły, nie czeka na nierówną walkę. Sromotnie drze w dal, opuszczając podlotki łanie stojące bezradnie na boku.

Co będzie z niemi?...

A może on po nie powróci?...

(C. d. n.)



ALBERT MNISZEK

Z podpatrzonych tajemnic

II

Pojedynek byków

23 września 1912 po południu podchodziłem grupę ryczących jeleni w słynnym rewirze Todor, należącym do Perehińska. Wśród ulewnego deszczu dochodziłem z gajowym do połoniny Stochłosem zwanej. Na przestrzeni jakich pięciu hektarów rozróżniałem po głosie trzy ryczące byki. Za chwilę wkraczałem ostrożnie w starszy, dość przejrzysty zrąb bukowy przetykany świerczyną, mając za sprzymierzeńców, szum ulewnego deszczu i lekki ku mnie wiejący wiatr.

Wiatr w wysokich górach rzadko kiedy jest przyjacielem myśliwego, zwykle staje on po stronie w niebezpieczeństwie będącego zwierzęcia. Przyroda uczyniła zeń strażnika swych tworów. Prócz bowiem głównego, panującego wiatru w górach, wieją wiatry poboczne w każdym parowie, na każdym zakręcie, zboczu, inaczej, często w diametralnym do głównego, kierunku. A i ten kierunek zmienia się co chwilę, zależnie od wysokości danego położenia, pory dnia i konfiguracji drzewostanów. Pewnikiem jest, że wiatr wieje w kierunku słońca, jeżeli chodzi o jego pionowy kierunek, np. w połowie zbocza, lub głębokiego parowu, a więc po wschodzie słońca wieje z dołu do góry, po zachodzie przeciwnie z góry w dół. Deszcz natomiast, choć może być bardzo niemiłym dla myśliwego, jest zwykle jednak jego sprzymierzeńcem, gdyż głuszy jego kroki i osłabia jego specyficzny zapach w powietrzu, który z dżdżem upadając na ziemię daleko nie leci. Podchodzenie zwierzyny wśród słoty udaje się o wiele łatwiej ze złym nawet wiatrem do odległości kulowego strzału.

Ale wróćmy do przerwanego opowiadania. Wiatr miałem w samą twarz a deszcz lał, jak z cebra, przeplatany ze śniegiem. Ryczące byki nie znajdowały się już odemnie nad dwieście kroków. A ryczały wspaniale. Pieśń ta chóralna zlewała się w jakąś dziką symfonję, wybuchała akordami żywiołowej potęgi i grozy. Posuwałem się wciąż ostrożnie, by nie natknąć się na łanie, bo wtedy cały trud podchodu poszedłby na marne. Ryk skoncentrował się na jednem miejscu, przeszedł w jakiś potężny, zbiorowy akord szaleństwa. Usłyszałem charakterystyczny stuk rogów. Byki walczą. Porzuciłem wszelką ostrożność, biegłem w kierunku rozgrywającej się walki. Raz ją widzieć w życiu, widzieć ten groźny pojedynek na tle pierwotnej przyrody! Niestety, walka się rozegrała, zanim zdążyłem być jej obserwatorem. Ku mnie wprost sadził byk ścigany przez drugiego. Zwycięzca jednak ścigał go krótko i wrócił zpowrotem, by rozpędzić inne do jego żon umizgające się przyciołki. Byk odbity przebiegł koło mnie o pięćdziesiąt kroków. Kulał lekko, a z środka brzucha sączyła się farba. Spojrzałem na wieniec. Wcale dobry czternastak, grube pnie, ładna rozpiętość i szlachetny kształt koron. Nie myślałem o strzale do niego. Jakiż wieniec musi nosić zwycięzca, jeżeli pobity jest prawie, że kapitalnym! Posuwam się dalej, przedemną jaśnieje halizna, a na niej stoją cztery łanie nieruchomo wpatrzone w prawą odemnie stronę. Ztamtąd dochodzi ryk, jeleń więc rozpędza tamte jeszcze byki i wróci niechybnie do swego haremu. Jakoż nie pomyliłem się w swem przewidywaniu. Byk wracał wolno, zamajaczyła jego sylwetka, wreszcie wyłonił się na haliźnie, wpadł między łanie i pierwszą z nich, którą napotkał, poczęstował niespodzianie silnem uderzeniem rogów w brzuch. Łanie się rozpierzchły, a on pomknął za niemi. Bo byk jeleni nie jest wersalczykiem w stosunku do płci pięknej, nawet w swych miodowych miesiącach, jest zawsze brutalem dla słabszych od siebie, bez różnicy płci.

Cały incydent tu opisany trwał tak krótko, odbył się z taką szybkością, że o strzale nie było mowy, ba, nie miałem nawet czasu przypatrzeć się rogom. Odniosłem jednak wrażenie, że byk zwycięzca nie odznaczał się jakiemś szczególnie silnem porożem. Podążyłem za jeleniem weselem i wkrótce podszedłem je w małem zagłębieniu terenu. Wrażenie moje było słuszne. Byk stadnik, średni dwunastak, gruby i ciężki w ciele, o długich i cienkich rogach, nie przedstawiał żadnej wartości łowieckiej; tamtych dwu odbitych byków nie widziałem, ale nie miałem już żadnych wątpliwości, że widziany przezemnie pierwszy byk odbity miał o wiele lepszy wieniec, niż jego zwycięzca.

Wśród myśliwych polujących w górach panuje często przekonanie, że stadnik jest pod względem wieńca najsilniejszym jeleniem na danym placu rykowiskowym. Przekonanie to jest błędne. W pojedynku jelenim nie zwycięża sam wieniec, lecz siła, odwaga i energja walczących, również i struktura wieńca niezależnie od jego rozmiarów. Raesfeld, autor znakomitego dzieła „das Rotwild“ twierdzi słusznie, że głównym atutem potrzebnym do zwycięstwa jest siła uderzenia, a więc waga walczącego byka. Struktura wieńca, a więc jego długość, ostrość końców, niepoślednią też w walce gra rolę. Najniebezpieczniejszym jest szydlarz (Mord, Schadhirsch) o wieńcu pozbawionym bocznych odnóg, zwykle bardzo wysokim, o ostrych końcach. Jeleń taki szerzy straszne spustoszenie wśród rywali. Raul Dombrowski w swojej pracy „Das Edelwild“ podaje znany mu fakt zabicia kilku silnych byków w pewnym rewirze podczas jednego rykowiska przez szydlarza. Taki byk jest niebezpiecznym chwastem w rewirze i jaknajprędzej spotkać się powinien z kulą.

(C. d. n.)



J. O. CURWOOD

SZARA WILCZYCA

(Kazan, the Wolf-Dog)

w przekładzie Jerzego Marlicza

(Zob. Łowiec Nr 2)

ROZDZIAŁ XX.

Walka w głuszy.

Łagodny zefir, dmący z południo-wschodu, przyniósł do nozdrzy Szarej Wilczycy woń najeźdźców. Natychmiast uprzedziła o tem Kazana, i on również, napiąwszy uwagę, uchwycił w powietrzu podejrzany zapach. Woń tężała w miarę, jak kroczyli bliżej. O dwieście jardów od wykrotu usłyszeli raptowny trzask padającego drzewa i zatrzymali się zdziwieni. Dobrą minutę trwali nadsłuchując. Wtem ciszę przerwał skrzekliwy krzyk oraz plusk, jakgdyby wielkiej ryby. Nasrożone uszy Szarej Wilczycy opadły ku tyłowi, zwróciła pysk w stronę psa, jakgdyby mówiąc, że już pojmuje wszystko. Teraz ruszyli truchcikiem, bok o bok, zabiegając od tyłu do znajomej jaskini. Lecz dopiero ze szczytu pagórka, tworzącego ich sadybę, Kazan objął wzrokiem niezwykłe zmiany zaszłe w czasie krótkiej nieobecności. Stanął wnet oszołomiony zupełnie. U podnóża skłonu znikła wąska struga. Natomiast jej miejsce zajął modry staw. Miał dobre sto stóp średnicy, a powódź zatopiła las i chaszcze na przestrzeni bodaj sześciokrotnie większej.

Pies i wilczyca nadeszli ukradkiem, to też Szczerbaty i jego plemię, których zmysł powonienia był dość tępy, nie wiedzieli nic o ich obecności. Zaledwie o pięćdziesiąt stóp od wykrotu, patrjarcha nacinał osobiście pień smukłej olszyny. W prawo igrało kilka małych bobrów, budując z iłu i chróstu minjaturową tamę. Po drugiej stronie sadzawki leżała wyniosła wydma, gdzie dwuletnia młodzież, już nawpół dojrzała, lecz jeszcze nie włożona do pracy, ślizgała się wdół piaszczystej pochyłości, niby saneczkujące uczniaki. Stamtąd leciały plusk i wrzawa. Dorosłe bobry pracowały statecznie mniejszemi i większemi partjami.

Przed paru tygodniami Kazan oglądał podobną scenę opodal dawnej siedziby Szczerbatego. Wtenczas widok ten był mu całkowicie obojętny. Natomiast teraz zaszła zupełna zmiana zapatrywań. Bóbr przestał być ziemnowodnem stworzeniem, mało nęcącem jako pokarm, gdyż obdarzonem antypatyczną wonią. Stał się raptem najeźdźcą i wrogiem. Pies milcząc, obnażył kły. Włos na barkach zesztywniał niby szczecina, mięśnie zaś ramion i łap wydzieliły się pod skórą jak postronki. Nie wydając dźwięku, błyskawicznie runął wdół na Szczerbatego.

Stary bóbr dostrzegł wroga dopiero w odległości dwudziestu stóp. Z przyrodzenia mało zwrotny na lądzie, zawahał się przez chwilę. Potem umknął z pod drzewa, Kazan wpadł na niego, i jęli się toczyć ku wodzie po stromej pochyłości, porwani rozpędem psa. Lecz już w następnej sekundzie ciężkie, obłe ciało patrjarchy wyśliznęło się z pod łap Kazana niby naoliwiona piłka, i Szczerbaty znalazł pewną ostoję w rodzinnym żywiole, mając jedynie mięsisty ogon przegryziony na wylot.

Doznawszy jednej porażki, Kazan jak błyskawica skoczył teraz w prawo. Młode bobry jeszcze nie umknęły. Zdumione i przerażone dziwnem zajściem, trwały w kompletnem osłupieniu. Dopiero widząc, że Kazan sadzi ku nim, odzyskały zdolność ruchu. Trzy dopadły wody. Dwa pozostałe, trzymiesięczne bębny, nie umiały już nadążyć. Jednym chwytem szczęk Kazan złamał grzbiet pierwszego z nich. Drugiego chwycił za gardło i trząsł nim, jak terrier trzęsie szczurem. Gdy Szara Wilczyca nadbiegła, oba stworzonka już nie żyły. Obwąchała drobne, miękkie ciałka i pisnęła żałośnie. Być może maleń-

A. PRZEDRZYMIRSKI

Na marginesie „Szczęśliwych dni" Stefana hr. Badeniego

Odwróciłem ostatnią kartę „Szczęśliwych dni", odwróciłem z żalem, że już ostatnia. Przez długi szereg kart wiedzie Autor czytelnika bądź to przez zaśnieżone Dniestrowe ścianki, bądź też pa fali podolskich jezior. Przed zachwyconem okiem przesuwa się obraz za obrazem, jeden bardziej porywający łowiecką wyobraźnię niż drugi. W miarę czytania zatraca czytelnik poczucie rzeczywistości i mimowoli staje się uczestnikiem tych rzeczywiście „szczęśliwych" chwil.

Poprzed jego okiem pruje głębokie śniegi ostrożny odyniec, to w szalonym pędzie pomyka w tumanach rozpryskującego się śniegu i opadającej okiści całe stado, by za chwilę spotkać się z niezawodnemi kulami. Słychać ujadanie psów, okrzyki pogonki, huk strzałów, widzi się ze swego stanowiska strome zbocza, wijące się wstęgą Koropczyka i hen daleko na drugim stoku niknące czarne sylwetki dziczych niedobitków. To znowu widzi się czytelnik w wątłej łodzi na szerokich stawach Podola, słyszy plusk fali, szum oczeretów, świst i łopot kaczych skrzydeł. Oko jego zachwycają ewolucje błotniaków, tych jak mówi Autor „wiecznych oraczy powietrznej skiby".

Nikną kacze hekatomby i miast wód szerokich, roztacza się przed okiem widza niskopienny las liściasty, który ledwie otrząsnął z siebie zimowe „pleśnie" i w łunach jesiennego wieczoru zdaje przygotowywać się do misterjów, które nastąpią. Daleka ściana sosnowego praboru czerwieni się w zorzy wieczornej. Rzadkie głosy drozdów i kosów jeszcze nie rozśpiewanych przerywają tylko uroczystą ciszę. Ale i te milkną stopniowo. Chwila ciszy zupełnej, w tem szept i tajemnicze chrapnięcie — na zaróżowiony wieczorny nieboskłon wybiegają sylwetki dwóch ścigających się ptaków — to słonka rozpoczyna swój tok coroczny. I znowu w letnie popołudnie idziemy z Autorem przez ostęp leśny, w tem z pod nóg z charakterystycznem klaśnięciem skrzydeł porywa się

stwa przypomniały jej Barego, gdyż gładząc bobry, pyskiem skomliła pełna tęsknoty. Był to płacz matki po utracie dzieci.

Lecz Kazan nie hołdował w tej chwili żadnym sentymentom. Poprostu zabił dwa z pomiędzy wielu stworzeń, które ośmieliły się zawładnąć jego dziedziną. Postąpił względem małych bobrów równie bezlitośnie, jak siwy ryś względem szczeniąt Szarej Wilczycy na Słonecznej Skale. Teraz, gdy obroczył pysk krwią nienawistnych wrogów, dygotał cały chęcią mordu. Miotał się więc wzdłuż brzegu stawu, warcząc na nieprzyjazny żywioł, w głębi którego znikł Szczerbaty. Tymczasem wszystkie bobry znalazły schronienie pod wodą, i toń falowała ruchem wielu ciał. Wreszcie Kazan zobaczył tamę. Była to rzecz całkiem nowa. Instynktownie przeczuł, że jest dziełem bobrów, i dobrą chwilę rwał zębami zmierzwione pnie i gałęzie.

Raptem woda nabrzękła tuż koło tamy, o pięćdziesiąt stóp od psa, i wyłonił się z niej wielki siwy łeb Szczerbatego. W ciągu pół minuty pełnej napięcia Kazan i Szczerbaty obserwowali się wzajem z tej odległości. Potem bóbr wydźwignął lśniące cielsko na grzędę zapory i rozpłaszczył się na niej, wciąż nie spuszczając psa z oczu. Stary wódz był sam. żaden inny bóbr nie odważył się porzucić kryjówki. Powierzchnia stawu znieruchomiała już całkowicie. Próżno Kazan usiłował znaleźć przejście, któreby mu dozwoliło dotrzeć do czujnego najeźdźcy. Pomiędzy solidnym środkiem tamy a brzegiem leżał splątany chaos wikliny i chróstu, tu i ówdzie przecięty bujną strugą wody. Kazan próbował trzykrotnie przedrzeć się przez tę gmatwaninę i za każdym razem niespodzianie dawał przykrego nurka. Cały ten czas Szczerbaty ani drgnął. Gdy wreszcie Kazan zrezygnował z ataku, senjor rodu ześlizgnął się z tamy i znikł w głębi stawu. Poznał już, że pies, tak jak ryś, nie może walczyć w wodzie, i śpieszył powiadomić o tem zaniepokojonych członków kolonji.

Szara Wilczyca i Kazan, wróciwszy do wykrotu, legli na słonecznym skwarze. W pół godziny później Szczerbaty wygramolił się na przeciwległy brzeg stawu. W ślad za nim dążyły inne bobry. Poza osłoną wody podjęły na nowo przerwaną pracę. Drwale wrócili do cięcia drzew. Półtuzina murarzy uwijało się po toni, nosząc ładunki iłu oraz chróstu. Połowa sadzawki stanowiła linję demarkacyjną. Nikt nie ośmielił się naruszyć tej granicy. Lecz parokrotnie jeden ze starych bobrów podpływał ku niej, poglądając uważnie na lśniące ciała dwóch maleństw pomordowanych przez Kazana. Zapewne była to matka — zaś Szara Wilczyca przeczulonemi zmysłami niewidomej wyczuła obecność biedaczki. Dwukrotnie bowiem chodziła obwąchiwać martwe kruszyny, za każdym razem zwracając ślepy pysk w kierunku ich rodzicielki.

Tymczasem Kazan ochłonął z pierwszej pasji i na zimno obserwował pracujące bobry. Doświadczenie pouczyło go, iż nie są to bojowe istoty. Wielokrotnie przewyższając go liczbą, zmykały przed nim jak gromada myszy. Szczerbaty nie próbował się nawet bronić. To też pies zaczął zwolna pojmować, że te dziwaczne stwory, których żywiołem jest narówni ląd i woda, trzeba będzie tropić i dusić jak króliki lub przepiórki.

Nad wieczorem chyłkiem pomknął w gęstwę krzewów, mając tuż za sobą Szarą Wilczycę. Niejednokrotnie podchodził królika, oddalając się od niego początkowo, więc obecnie zastosował względem bobrów ten wilczy podstęp. Poza wykrotem skręcił ostro, wraz z wiatrem dążąc brzegiem strugi. Na przestrzeni ćwierci mili łożysko pogłębiło się dość wyraźnie. Bród, który im zawsze służył, kompletnie znikł pod wodą, więc Kazan puścił się wpław, każąc Szarej Wilczycy czekać na siebie.

Znalazłszy się sam, ruszył szparko w kierunku tamy,

---

słonka — a zdziwione oko obserwatora dostrzega przez nią pod piersią unoszony przedmiot — to matka troskliwa o bezpieczeństwo swej dziatwy przenosi ją po jednemu w spokojniejsze miejsce.

Po burzliwej i parnej nocy wstaje pogodny, chłodny poranek. Wśród kolumn starych sosen i dębów jak cień, bezszelestną stopą przesuwa się łowiec. — Pod sklepieniem wiekowych olbrzymów mrok jeszcze szary panuje, ale stamtąd gdzie ściana boru młodej dotyka kultury, jasne już przenikają promienie. Ku tej kulturze, miejscu częstego pobytu starego i ostrożnego rogacza, zdążają kroki myśliwego. Dociera do ostatnich sosen wciśniętych w kulturę i staje zdumiony dobrze sobie znanym a zawsze na nowo porywającym widokiem.

W blaskach poranku, w obfitej rosie pokrywającej las cały, wszystko goreje i lśni wszystkiemi barwami tęczy, tak, jakgdyby ktoś hojną dłonią rozsypał miljony drogich kamieni i zapalił setki ofiarnych ołtarzy. W tej uroczystej chwili powtarzającej się codziennie, zda się wszystko wznosić ku Stwórcy w jednym ogromnym dziękczynnym hymnie. I człowiek umiejący patrzeć i odczuwać spływa się z tą olbrzymią falą modlitwy w tym najwznioślejszym z kościołów.

Nieznaczny trzask gałązki na kulturze przywołuje myśliwego do rzeczywistości. W odległości kilkudziesięciu kroków dostrzega on kozę ogryzającą spokojnie jakąś smakowitą gałązkę. Przez szkła bada myśliwy jej okolicę lecz nieczego innego dostrzec nie może. — W tem, w chwili opuszczenia szkieł, spostrzega tuż przed sobą ukoronowaną główkę, wynurzającą się z gęstszej kępki świerków. Wyraźna siwa plama nad czarnemi nozdrzami i grube perliste rożki wystarczają myśliwemu, by rozpoznał dawno upragnioną zdobycz. Cal po calu wysuwa się kozioł z gęstwiny. Milimetr po milimetrze podnosi się broń do oka. Pada strzał i budzisz się czytelniku, aby sobie uprzytomnić, że nie byłeś czynnym aktorem tych wszystkich scen, lecz szedłeś tylko z największem napięciem śladem Badeniego w Jego wspomnieniach z „Szczęśliwych dni“, lub snułeś własne reminiscencje temi wspomnieniami wywołane.

Nie z dalekich egzotycznych krain te wspomnienia — przeciwnie; pozbierane są, że się tak wyrażę, tuż u pro-

biegnąc równolegle do strugi, jednak w odległości mniej więcej dwustu stóp. Nieco poniżej sztucznej zapory zwarta gmatwanina wierzb i olch schodziła niemal nad samą toń stawu; Kazan wyzyskał tę okoliczność. Chyłkiem przekradł się w pobliże tamy i zaległ w gęstwie, wyczekując dogodnej okazji. Większość bobrów pracowała teraz w wodzie. Cztery lub pięć harowały coprawda na lądzie, jednak w pewnem oddaleniu od zasadzki i nad samą niemal tonią. Po upływie paru minut Kazan był już gotów zaryzykować szalony atak, gdy raptem zwrócił jego uwagę jakiś ruch na grzebieniu tamy. Zaledwie w odległości ludzkiego ramienia sam Szczerbaty utwierdzał we właściwem miejscu wielki topolowy konar.

Był tak pochłonięty pracą, że ani widział, ani słyszał psa. Inny bóbr rzucił się raptem w głąb toni, pluskiem przestrzegając towarzyszy. Szczerbaty spojrzał i zobaczył tuż nad sobą groźne szczęki Kazana. Nie miał czasu zawrócić. Cisnął się więc wstecz, lecz o sekundę zbyt późno. Kazan już go dopadł. Zatopił kły w karku bobra. Obaj razem stracili równowagę. Jednocześnie zęby Szczerbatego, niby kleszcze, uchwyciły luźną fałdę skóry na podgardlu psa. Tak złączeni runęli społem w głąb stawu.

Szczerbaty ważył sześćdziesiąt funtów. W chwili gdy dotknął wody, znalazł się w przyjaznym żywiole, i mocno dzierżąc psa za gardziel, poszedł na dno, niby żelazna bryła. Kazan zatonął z nim razem. Woda napłynęła mu do pyska, nosa, oczu i uszu. Zaniewidział momentalnie i postradał wszelką orjentację. Lecz zamiast usiłować odzyskać swobodę, wpijał kły coraz głębiej. Dosięgli grząskiego dna i na chwilę zaryli się w ilasty grunt. Tu Kazan rozluźnił chwyt. Nie szło mu już o zgon bobra, jeno o własne życie. Całą siłą potężnych członków walczył o pozbycie się przeciwnika, o wypłynięcie na powierzchnię, o łyk czystego powietrza. Trzymał pysk zawarty, wiedząc, że inaczej czeka go śmierć. Na lądzie bez trudu uwolniłby się od Szczerbatego. Lecz pod wodą chwyt starego bobra był groźniejszy, niż w lesie kły i pazury rysia.

Tuż obok przypłynął nowy bóbr, tworząc lekki wir i drobną falę. Gdyby podążył z pomocą, pies zginąłby momentalnie. Lecz przyroda przeoczyła snać możność walki tych ziemnowodnych stworzeń z psem lub wilkiem. Stary wódz nie widział teraz powodu utrzymywania wroga na dnie. Nie znał uczucia zemsty. Nie pragnął smaku i widoku krwi. Wiedząc, że jest wolny, oraz, że dziwaczny zwierz, który go atakował dwukrotnie, nie może mu uczynić zła, rozwarł szczęki. Był ostatni czas. Kazan resztką sił wychynął na powierzchnię. Nawpół przytomny przerzucił jednak przednie łapy przez gałąź, wystającą z boku tamy. To mu pozwoliło zaczerpnąć powietrza i wykaszlnąć wodę, która przyprawiła go niemal o uduszenie. Wypoczywał dobrze dziesięć minut, nim się odważył dopłynąć do brzegu. Z trudem wylazł na ląd. Postradał wszelką moc. Łapy pod nim drżały. Szczęki zwisały mu bezwładnie. Był zmaltretowany okrutnie. A zwyciężyła go istota nietylko mniejsza, lecz napozór gorzej zbrojna. Czuł przygnębiające poniżenie podobnej klęski. Wymokły, osłabły powlókł się do wykrotu i legł na słońcu, oczekując powrotu Szarej Wilczycy.

Płynęły dnie za dniami, Kazan zaś żył jedynie pragnieniem odwetu. Tama nabierała z każdą dobą znaczenia i mocy. Prace murarskie, wykonywane pod wodą, postępowały naprzód szybko i bezpiecznie. Staw rósł wszerz i wzdłuż. Woda skręciła teraz w wyżłobienie gruntu, opasujące wykrot, i jasne było, że o ile bobry nie poniechają swych czynności, w niedługim czasie domostwo psa i wilczycy będzie jedynie samotną wyspą otoczoną zewsząd głębią toni.

Kazan polował teraz jedynie dla jadła, nie zaś dla roz-

---

gu małopolskiej łowieckiej siedziby Autora. Wspomnienia to z Koropca i jego niedalekiej okolicy, klejnoty zebrane ręką Znawcy i ręką wielkiego Artysty na ojczystej niwie a ujęte w oprawę z najszlachetniejszego kruszcu, bo w ukochanie łowów i przyrody.

Umiłowanie i głęboka znajomość przedmiotu, jak nie mniej wykwintny artyzm, wieją z każdej karty „Szczęśliwych Dni", jak nie mniej z bogatego doboru zdobiących je ilustracyj. Dzieło takie stworzyć mógł tylko wybitny myśliwy i człowiek wrażliwy na piękno. A jak mało mówi Autor o sobie, jak dyskretnie kryje swoje wielkie walory łowieckie, jak w skromnych terminach wyraża najświetniejsze momenty swojej ukochanej kniei. Lecz zato tem głośniej mówią same fakty.

Sto czterdzieści jeden dzików w tem 20 grubych odyńców zdobytych w 9-ciu latach, w tej niezbyt rozległej kniei, zdobytych nie wielkim nakładem sił, lecz sztuką łowiecką i wielką znajomością terenu, przy pomocy wiernych piesków.

W nieskomplikowanych słowach opisuje Autor te epizody, a każdy z nich to skończony obrazek, dowodzący głębokiej wiedzy łowieckiej, i niepospolitego daru opisowego i dużej wrażliwości na piękno przyrody. Razem z Autorem dzielimy te zachwyty, cieszymy się powodzeniami i dowodną „robotą" dzielnych piesków i razem z Nim odczuwamy rzewne Jego słowa poświęcone pamięci tych wiernych współpracowników myśliwego, którzy legli w służbie swego obowiązku.

Ostatnia karta „Szczęśliwych Dni" odwrócona — wierzmy, że nie zamyka ona wspomnień Autora, który dalej snuć je będzie zachęcony tak świetnym debiutem na arenie naszego łowieckiego piśmiennictwa.

W małopolskim naszym myśliwskim świecie mała panuje pochopność do pióra. Dzięki niej zacierają się z biegiem lat wspomnienia faktów, sylwetki Łowców, nikną w niepamięci całe epopeje, mogące być odbiciem czasów, ludzi i metod łowieckich. Dziś, gdy cały świat się uniformuje i kosmopolityzuje, jest niepowetowaną szkodą zatracać pamięć wydarzeń przeszłych, z których już wiele w dzisiejszych stosunkach powtórzyć się nie może. Na tle tej szeroko zakorzenionej apatji do pióra wśród Łowców małopolskich, apatji, której broni się tylko szczupła

rywki. Bezustannie wyglądał okazji fortunnej napaści. Na trzeci dzień po przeprawie ze Szczerbatym ubił pewnego bobra, który nieostrożnie zapędził się na brzeg. Piątego dnia dwa młodzieniaszki zawieruszyły się w pobliżu wykrotu, i pies, dopadłszy ich w płytkiej wodzie, poszarpał na strzępy. Bobry, poniósłszy trzykrotnie bolesne straty, jęły pracować przeważnie nocą. Lecz Kazan, będąc nocnym łowcą, zyskał jedynie na tem. Dwie noce pod rząd zdusił dwu robotników. Jego ofiary, licząc w to pierwszą parę bachorów, dosięgły cyfry siedmiu — gdy na plac boju przybyła wydra.

Szczerbaty nigdy jeszcze nie miał przeciwko sobie dwu tak zaciekłych i tak niebezpiecznych wrogów. Na lądzie Kazan posiadał przegniatającą przewagę, jako zwierz prędki w ruchach, sprytny i obdarzony świetnym węchem. Pod wodą wydra stanowiła bodaj jeszcze większą groźbę. Pływała szybciej niż ryby, będące jej pożywieniem. Miała zęby jak stalowe igły. Była tak śliska i zwinna, że nawet zdoławszy ją osaczyć, bobry nie mogły jej uczynić szkody swemi zbyt wygiętemi kłami.

Wydra nie łaknie zapachu krwi. Tem niemniej na dalekiej północy trzebi bobry bardziej bodaj niż człowiek. Smyga to tu, to tam jak zaraza, groźna zawsze, lecz najgroźniejsza zimą. W tym okresie nie próbuje nawet napadać bobrów w ich domkach. Natomiast podejmuje pracę, którą człowiek jest w stanie wykonać jedynie przy pomocy dynamitu — mianowicie, przerywa tamę. Toń opada szybko, lód pęka i żeremia obnażają się zewsząd. Mieszkańców czeka głód, chłód i śmierć. Chaty pozbawione ochrony wody, sadzawka jako chaos lodowych brył i ostrych tafli, to wszystko przy czterdziestu lub pięćdziesięciu stopniach mrozu tworzy warunki, w których bobry giną po upływie kilku godzin. Gdyż te zwierzęta, mimo ciepłego futra, mniej są na chłód wytrzymałe niż człowiek. W ciągu całej zimy pancerz wody wokół lepianek jest im potrzebniejszy, niż ogień małemu dziecku.

Lecz obecnie panowało lato, to też napozór wydra nie zagrażała zbytnio Szczerbatemu i jego plemieniu. Oczywiście naprawa uczynionych przez nią szkód wymagałaby pewnej sumy pracy, lecz było ciepło i jadła znajdowano poddostatkiem.

Całe dwa dni wydra smygała wokół tamy, nie robiąc narazie zła. Kazan przyjął ją za bobra i próżno się na nią zasadzał. Poglądała nań podejrzliwie i miała się dobrze na baczności. żadne z nich nie przypuszczało nawet, że dążą do jednego celu.

Tymczasem bobry pracowały nadal, choć coraz ostrożniej. Poziom wody stawu rósł, i paru murarzy podjęło właśnie budowę trzech nowych domków. Lecz w wydrze zbudził się raptem instynkt niszczycielski. Jęła badać tamę tuż u fundamentów. Znalazłszy słabsze miejsce, przy pomocy ostrych zębów oraz kulistej głowy poczęła wiercić otwór. Cal za calem nadwyrężała przeszkodę, to łamiąc chróst, to wymijając grubszy konar, lecz zawsze krusząc łączącą zaprawę. W ten sposób wybijała nieregularnych kształtów tunel o siedmiocalowej średnicy. W ciągu sześciu godzin przedarła na wylot podstawę tamy szerokości pięciu stóp.

Strumień wody chlusnął z sadzawki, i poziom jej począł gwałtownie spadać. Gdy zaszedł ten znamienny fakt, Kazan wraz z Szarą Wilczycą czatowali na południowym odcinku wybrzeża. Słyszeli ryk prądu, bijącego przez wydartą szczerbę, i widzieli, jak wydra, siadłszy na grzbiecie tamy, prycha i otrząsa się, niby wielki szczur wodny. W ciągu pół godziny staw widocznie zmalał, a wartki prąd, omywając tunel, powiększał jego średnicę. Po dalszych trzydziestu minutach fundamenty trzech nowozbudowanych chat, położone pierwotnie pod wodą, stanęły na błocie. Dopiero wtenczas, widząc, że zbawczy żywioł porzuca ich siedziby, Szczerbaty rozpoczął alarm.

Kolonję ogarnął popłoch. Wkrótce każdy jej mieszkaniec uganiał rozpaczliwie po lśniącej powierzchni stawu.

---

garstka myśliwych, chlubnym wyjątkiem jest Stefan hr. Badeni. życzymy mu by długo i szczęśliwie gromadził dalsze perły swych wspomnień i by dzielił się niemi tak szczodrze, jak w swoich „Szczęśliwych Dniach" z zawsze chciwymi czytelnikami.

Przykład autora „Szczęśliwych Dni" powinien znaleźć naśladowców. Wśród starszej generacji naszych myśliwych iluż to mamy pierwszorzędnych — mamy ich i to nie mało pośród młodszych. — Jakież skarby z przeszłości zazdrośnie kryją pod korzec, tacy Łowcy jak: Marmaross, Bielski, Piegłowski, Zdzisław Tarnowski, ileż do powiedzenia mieliby nam Henryk Prek, Barańscy, Zamoyscy i tylu innych, których czyny nikną i przebrzmiewają niestety z echem ich strzałów.

Jakżeż porywającemi mogłyby być opisy dawnych łowów ś. p. Adama ks. Sapiehy, o których najlepiej poinformowanym być musi ich były uczestnik i kierownik p. Kazimierz Remiszewski, jak interesującemi historje takich kniej jak Rozhurcze, Bilcze Wolica, Turza wielka, Poturzyca, Uniż. Chodzi tu o wartości nietylko anegdotyczne, lecz taki retrospektywny rzut oka w przeszłość może odkryć i walory historyczne i być podstawą do studjów nad rozwojem i metodami naszego łowiectwa, może dać obraz stosunków i charakterów a wspomnieniem świetnej przeszłości niecić może zapał do piękna łowów i poznawania i ukochania przyrody.

Beletrystyka łowiecka niezwykle obfita w ostatnich czasach nie jest bez wartości, sprawia jednak wrażenie kompozycji i sztuczności a często grzeszy niedostatecznem opanowaniem przedmiotu. O wieleż wyżej stoją wspomnienia rzeczywistych zdarzeń, zwłaszcza gdy są podane w sposób, jaki w „Szczęśliwych Dniach" spotykamy.

Kończąc uwagi moje o Dniach szczęśliwych, dziękuję Szanownemu ich Autorowi za tę wytworną biesiadę, którą nam zgotował, ślę Mu szczere życzenia, by chwil równie szczęśliwych spotkał na Swej łowieckiej ścieżce jak najdłuższe szeregi i by niejednokrotnie jeszcze podzielił się z nami ich plonem.

Bobry pływały od brzegu do brzegu, nie zważając już na linję demarkacyjną. Szczerbaty wraz z wyborową asystą pośpieszył ku tamie, co widząc wydra z szorstkim wrzaskiem nurknęła między nich, i jak błyskawica przeleciawszy sadzawkę, wpadła do łożyska strugi.

Tymczasem wody ubywało nadal, w miarę czego bobry ogarniała coraz większa panika. Zapomniano o obecności Kazana i Szarej Wilczycy. Parę młodszych zwierząt wylazło na brzeg od strony wykrotu, i pies, skomląc nerwowo, chciał już im zabiec drogę, gdy pewien stary bóbr zawieruszył się nieopatrznie ku jego kryjówce. Kazan dopadł go w dwu susach, mając Szarą Wilczycę zaledwie o jeden skok za sobą. Reszta bobrów, widząc fatalny wynik krótkiej walki, co prędzej uciekła na przeciwległy brzeg.

Woda opadła do połowy dawnego poziomu, gdy Szczerbaty i jego pomocnicy odnaleźli wyłom. Momentalnie wzięto się do naprawy. Jednak by ją uskutecznić, należało zdobyć sporo grubszych gałęzi, by zaś je dostać, bobry musiały wlec niezdarne cielska przez szerokie pasmo błotnistego gruntu. Lecz obawa kłów nie wstrzymała ich tym razem. Instynkt uprzedził je, że tu idzie o życie całej kolonji, że jeśli nie załatają w czas dziury, staw zniknie, a wraz z jego końcem przyjdzie kres i na nie.

Dla Kazana i Szarej Wilczycy był to dzień mordu. Zabili jeszcze dwa bobry obok kęp wierzb. Potem, przeszedłszy w bród płytką strugę poniżej tamy, odcięli w zagłębieniu gruntu dalsze trzy zwierzęta. Ta trójca nie miała najmniejszych szans ucieczki, nastała więc sroga rzeź. Nieco później Kazan schwytał i zdusił szóstego bobra.

Nad wieczorem mord wygasł. Szczerbaty, wspomagany przez swych dzielnych towarzyszy, zdołał załatać dziurę, i woda w sadzawce jęła się podnosić.

O pół milę wgórę strugi wydra, leżąc na płaskim pniu zwalonego drzewa, grzała się w promieniach zachodzącego słońca. Nazajutrz miała ponownie ruszyć ku tamie i rozpocząć raz jeszcze swą niszczycielską działalność. Taka była jej metoda. Bawiła się, nic więcej.

Lecz duch leśny, przez swych licznych wyznawców zwany O-si-ki, spojrzał wreszcie miłosiernem okiem na leciwego wodza bobrów i jego sponiewierany ród. O zmierzchu bowiem Kazan, szwendając się wzdłuż brzegu wraz z Szarą Wilczycą, dostrzegł raptem drzemiącą wydrę.

Całodzienna praca, pełny żołądek oraz ciepła pieszczota słońca rozmarzyły wydrę. Leżała równie nieruchomo jak pień służący jej za posłanie. Była już leciwa, wielka, siwo zabarwiona. Istniała od lat dziesięciu, zadając kłam rzekomej wyższości ludzkiego sprytu nad sprytem zwierząt. Próżno zastawiano na nią sidła. Daremnie chytrzy traperzy budowali z drzewa i głazów wąskie kanały; nie dała się omamić i uniknęła żelaznych szczęk, czyhających w końcu pułapki. Brnąc po błocie, zostawiała po sobie olbrzymi ślad. Niewielu łowcom powiodło się ją oglądać. Gdyby nie wyjątkowa przebiegłość, jej piękne futro dawnoby już zostało sprzedane do którejś z europejskich stolic. Było godne książęcych ramion. Jednak od lat dziesięciu nikt nie zdołał go dostać.

Lecz teraz panowało lato. żadnego trapera nie skusiłby obecnie widok wydry, futro bowiem nie przedstawiało najmniejszej wartości. Przyroda wraz z instynktem uprzedziły ją o tem. Latem nie lękała się człowieka, nieobecnego zresztą. Zatem drzemała słodko, nie zważając na nic, cała oddana rozkoszy snu i pieszczocie słońca.

Kazan, przejęty wciąż jeszcze pościgiem zaborczych bobrów, skradał się cicho brzegiem strugi. Szara Wilczyca dreptała z nim bark o bark. Nie wywoływali żadnego szelestu, przyjazny zaś wiatr niósł ku nim wszelkie wonie. Przyniósł również zapach wydry. Dla psa i wilczycy był to odór ziemnowodnego zwierzęcia, silnie cuchnącego rybą — to też uznali, iż należy do bobra. Jęli sunąć jeszcze ostrożniej. Wreszcie Kazan ujrzał śpiącą wydrę i przestrzegł swoją samkę. Stanęła momentalnie, nieruchomo, z uniesionym wgórę łbem, podczas gdy pies kroczył naprzód.

Wydra poruszyła się niespokojnie. Zapadał zmierzch. Słoneczny blask zginął. W pobliskiej gęstwie sowa niskiem hukaniem witała nadchodzącą ciemność. Wydra westchnęła głęboko. Zmarszczyła wąsaty pyszczek. Budziła się już, już miała wstać, gdy Kazan wpadł na nią jak piorun. Na trzeźwo, w uczciwej walce stara wydra była niełatwą zdobyczą. Lecz obecnie nie miała żadnych szans. Snać duch leśny, wielki O-si-ki, oznaczył już kres jej istnienia. Kły Kazana rozdarły tętnicę. Zapewne skonała, nie wiedząc nawet kto jest jej mordercą — skonała bowiem błyskawicznie. A Kazan i Szara Wilczyca ruszyli dalej, tropiąc nowych wrogów, nieświadomi wcale, że wraz ze śmiercią wydry zginął jedyny sprzymierzeniec, mogący im pomóc do zwycięstwa.

Teraz z dniem każdym sytuacja psa i wilczycy przedstawiała się beznadziejniej. Gdy wydra znikła, Szczerbaty oraz jego plemię z punktu wzięli górę. Z każdą dobą woda wkraczała dalej na przestwór błot. W połowie lipca jedynie wąska smuga suchego lądu wiązała wykrot z pobliskim borem. Bobry, chronione głębią wodną, pracowały bezkarnie. Poziom toni rósł, aż drobna fala jęła się przelewać przez pasmo drogi. Kazan i Szara Wilczyca, przebiegłszy tędy poraz ostatni w życiu i żegnając na zawsze ulubioną pieczarę, podążyli wgórę strugi. Kłusując brzegiem, wciągali ustawicznie ostrą woń rybią i z zainteresowaniem nasłuchiwali znajomych dźwięków. Ciekawość łączyła się tu z uczuciem lęku, obecna bowiem porażka przypominała im jakgdyby troski doznane ongiś od ludzi. To też gdy nocą zwietrzyli bliskość osady, z której wyemigrował Szczerbaty, coprędzej skręciwszy na północ, wpadli na rozległe, ciche prerje. Leciwy patrjarcha wpoił im raz na zawsze szacunek należny przedsiębiorczej odwadze i pracowitej wytrwałości bobrów.



Korespondencje

Na wielkiem polowaniu reprezentacyjnem w Białowieży w połowie stycznia ubito 1 rysia, 3 dziki, 2 wilki, 7 kozłów, 2 lisy i 5 zajęcy, z czego P. Prezydent ubił 1 wilka, drugiego wilka ubił gen. Sosnkowski, który pozatem ubił 2 kozły i 1 lisa. Trzy wilki padły pod kulami min. Girsy, gen. Romera i pułk. Głogowskiego. Gen. Trojanowski ubił 1 lisa i 3 kozły; gen. Fabrycy — 2 kozły, radca Żukotyński — 1 kozła i 1 rysia. Jednego kozła ubił b. min. Niezabytowski.

Rożyska, 18 stycznia 1930

W bieżącym sezonie nie polowano na zające w powiecie skałackim. Stan zajęcy bardzo marny, nie pamiętam tak złego roku pod tym względem w naszym powiecie.

Przyczyną tego jest niebywale ostra zima zeszłego roku. Także kłusownictwo i wnykarstwo kwitnie i dziwna, że zamiast się zmniejszać, raczej się powiększa, nawet żołnierze z K. O. P-u urządzają sobie ćwiczenia strzelnicze do zwierzyny. Wszystko to razem, przyczyniło się do upadku kwitnącego zwierzostanu, który mógł jeszcze dwa lata temu konkurować z najlepszemi łowiskami w Polsce. Szkodników natomiast jest więcej niż w zeszłych latach, szczególnie lisów. Dziki, których w latach poprzednich nie było, zaczynają się w północnych Miodoborach sporadycznie na razie ukazywać.

W listopadzie 1929 polowano na lisy u p. Kazimierza Grocholskiego w Rożyskach i Łuce małej, gdzie padło 11 lisów, u pp. Ksaw. Jaruzelskich na „Horach", gdzie padło 2 dziki, 7 lisów i 11 bażantów.

Kazimierz Grocholski

Polowanie dnia 10 stycznia 1930 w Glince, 11 stycznia 1930 w Zaleszczykach, pow. Buczacz u Erazma hr. Korytowskiego, nastręczyło mi dużo dawnych przemiłych wspomnień, a refleksji dnia dzisiejszego. W kniejach położonych malowniczo nad Strypą, poluję już z trzecią generacją, gdzie tradycyjnie etyka myśliwska stoi na pierwszym planie, stosunki powojenne w niczem tych zasad nie zmieniły a prawdziwy kult myślistwa chociaż dziś tak rzadki, daje prawdziwe zadowolenie. Każdy prawdziwy myśliwy przypomni sobie, że nieraz, polując w rozmaitych kniejach, nie jednakowo miłe odnosił wrażenia — uczucia te dziwne, a jednak są; wedle mojego skromnego zdania wypływają one z etyki myśliwskiej, którą dusza myśliwego określić może w dwóch słowach: „polowanie", „strzelanie"; gdy się poluje w rewirach dość obsadzonych rozmaitego rodzaju zwierzyną, wszystko odbywa się wedle z góry zakreślonego planu; stosunek ilości myśliwych odpowiada ilości zwierzyny, to możemy to nazwać śmiało „polowaniem". Są polowania, gdzie mioty bardzo gęsto obstawia się strzelcami, flanki obstawione, strzelają tam, żeby żaden zajączek nie wymknął się, byleby jak najwięcej strzelać, żeby jak najwięcej wystrzelać! Taką zabawę śmiało można nazwać „strzelaniem" i to ostrem strzelaniem. Sprawdzian tego zapatrywania, nie daje niestety długo na siebie czekać, bo etyka myśliwska w tem leży, ażeby móc strzelać, to w pierwszej linji trzeba się starać ażeby było co strzelać. Z powodu zeszłorocznych katastrofalnych mrozów, zwłaszcza zajęcy, nie powinno się strzelać, tyle wymarzło! a w rzadkich wypadkach zostały uzupełnione sprowadzonemi. — Jeśli już koniecznie, nawet pragnienia kuchni miałyby być zaspokojone to ten rękoczyn jedynie za pomocą kuli powinienby być wykonany.

Dnia 10 stycznia 1930, jedziemy do Glinki uroczą drogą przez Jazłowiec. — Gospodarz z góry zapowiedział: zajęcy mało, ale będą dziki (chytry, chodziło Mu o kule). Dziczych tropów zastaliśmy dużo, dziki jednak wyniosły się do sąsiednich lasów. W rezultacie padło 13 zajęcy, z których kilka kulami ubite i 2 lisy.

Dnia 11 stycznia 1930, dziesięciu wybrańców myśliwych, rozstawia gospodarz w Zaleszczykach a z góry zapowiada: dzików w tym roku niema, wyniosły się do lasów sąsiednich; strzelać tylko do zajęcy i lisów. W pierwszym miocie rozpoczyna się kanonada, jak za dawnych czasów. Po skończonym miocie wynieśli 14 zajęcy. W następnych miotach huk strzałów strąca śliczną ale mniej sympatyczną okiść z drzew, rozkład rośnie. Bierzemy następnie kotły stepowe, które przy gęstej mgle, raczej wyglądały jak precle (? Red.), pomimo tego rozkład się zwiększa. Po trzecim kotle zajeżdżamy do małej maluteńkiej remizki „Stadnica", stajemy na linji — nagonka rusza — obok mnie, Roman hr. Bielski strzela 3 zające, 1 kozła, poniżej nas, gęsta pukanina! Rozróżniam rozmaite kalibry broni — słychać też „Kiciusia 6,5" Jana Drohojowskiego, którym z bukietów strąca 3 koguty rubinem, szafirem i malachitem płonące. Ogólny rezultat w Zaleszczykach: 80 zajęcy, 2 lisy, 10 bażantów. Tak wspaniały rozkład, jak na dzisiejsze czasy, tłómaczy się skromnem powiedzeniem gospodarza: „sprowadziłem w tym roku 20 zajęczyc, 16 kur bażancich — strzelaliście dużo kulami, rezultat na rok następny będzie lepszy, zresztą chcę tę remizę jeszcze powiększyć. Staropolska gościnność w lesie! cóż dopiero w domu!! Dzięki Tobie św. Hubercie i kochany Gospodarzu, że w dzisiejszych ciężkich czasach, dajesz tak miłe chwile prawdziwej przyjemności.

Tadeusz Potocki

Baligród, 20 stycznia 1930

Podczas mych czynności lasowych, wykonywanych w dniach 15 i 16 stycznia, w lesie gminnym Jabłonki, powiat Lisko, wypadło mi z konieczności pójść drogą przez las dworski, do lasku gminnego zw. „Gruziów".

Jeden z chłopaków, który towarzyszył mi do pomocy, podczas naszego pochodu opowiadał rozmaitości o wilkach znajdujących i włóczących się w lesie dworskim, i rzeczywiście, kiedyśmy przeszli spory kawał drogi leśnej, tuż nad potokiem, który przerzynał drogę, spotkaliśmy liczne tropy wilków, a z tych dwa wskazują na ogromne bestje.

Tropy wilcze po śladach jelenich wskazują, iż wilki urządzały obławę na jelenie.

Pod mostkiem farba z wyrwaną sierścią, to cięcie pierwsze, następnie o 3 kroki załamany lód, a dalej o 4 kroki głowa z zagasłemi świecami i kawałkiem szyi, opodal żołądek i patrochy z łani. Idziemy kilkadziesiąt metrów wbok na prawo, znowu łania zarznięta, do pół zjedzona, resztę pozostawiły.

Ucztę tą urządziły sobie wilki w nocy z 14 na 15 na obu sztukach. Wyżej przecinamy ślad świeży dzika wycinka.

Wchodzimy na pole gminne, przez licznie rozsiedlone małe gaje, należące do tamtejszych włościan, tutaj znowu świeżuteńkie ślady jelenie, dalej kilkadziesiąt kroków na śniegu gonitwa i morderczy taniec wilków za jeleniem, kłak sierści i bryzg lekkiej farby jeleniej, z braku jednak czasu pozostawiam dalsze śledzenie tego smutnego i krwawego epizodu.

Jabłonki to majątek p. Felicji hr. Skarbkowej, knieja jak „Eldorado" wymarzona i stworzona do hodowli szlachetnej zwierzyny, szkoda tylko iż zachodzi i przeszkadza do intensywnej hodowli jakieś zawsze „ale".

Trochę chęci i fachowej wiedzy, przy pracy ochronnej i hodowlanej, bez wielkich materjalnych wkładów, a osobistej ambicji, można tę piękną ostoję podnieść do przedwojennego zwierzostanu, tak jak niegdyś ś. p. hrabia o tem marzył.

Stanisław Winiarski
Leśnik

Kraków, styczeń 1930

W sezonie myśliwskim 1929/30 skrócono polowanie w Wielkopolsce o tyle, iż pozwolono polować na kuropatwy wyłącznie w miesiącu wrześniu, zaś na zające tylko w grudniu. Atoli w dobrze zrozumianym interesie utrzymania dobrego stanu zwierzyny, zdecymowanej zeszłoroczną ostrą zimą, wielu właścicieli polowań oszczędzało kury, zadawalniając się tylko tam skromnym odstrzałem, gdzie pozwalały na to warunki. To też zamiast przysłowiowego toujours perdrix po inne lata, witano kuropatwę na półmisku w ubiegłym roku jako rzadki specjał.

Natomiast na szaraka polowano zaraz od pierwszych dni grudnia, stwierdziwszy przy jesiennych zbiorach i uprawie pól, że zajęcy jest dużo. I nie omylono się. Z wielką przyjemnością uczestniczyłem w kilku polowaniach, na których przekonałem się, że dzięki wysokiej kulturze roli i opiece właścicieli obszarów myśliwskich — zwierzostan utrzymał się prawie na równej wysokości lat ubiegłych.

W dniu 9 i 10 grudnia w ordynacji Próchnowo Jerzego hr. Potulickiego padło 635 zajęcy i 50 bażantów. Polowano na miękkiej, uprzedniemi deszczami rozmiękłej roli. I gdyby nie oszczędzano zasiewów, a myśliwi nie dbali o utrzymanie suchego obuwia, to nie wątpię, iż rezultat byłby o wiele większy. Przyszliśmy też do przekonania, iż stan kuropatw bardzo się zwiększył, bo niezliczone stada po 15—22 sztuk szybowały tuż nad myśliwymi, robiąc wrażenie, że znają swój czas ochronny i rozporządzenie województwa. Miłą niespodzianką był też widok niezliczonej ilości sarn polnych w stadach po kilkanaście sztuk a w jednem naliczyłem nawet ich 23. Próchnowskie bażanty rozchodzą się po całej okolicy na kilkanaście kilometrów daleko.

Dnia 16 grudnia na polowaniu w majątku Gustawa hr. Brezy w Więckowicach było na rozkładzie 245 zajęcy, 8 królików i 30 bażantów. Widzenia godną jest wzorowo prowadzona bażantarnia.

Dnia 17 grudnia strzelono wczęści majątku Żaliczyna p. Romana Janta-Połczyńskiego i w części majątku Stempuchowa p. Dr. Moszczeńskiego przeszło 150 zajęcy.

Dnia 18 i 19 grudnia w majątku Raków i Świątków padło u pp. Bronisława i Romana Brukwickich 343 zające, a wreszcie dnia 21 grudnia w majątku Stajkowo Włodzimierza hr. Raczyńskiego 180 zajęcy.

Na powyższych polowaniach w 12—16 strzelb nie zdołano rozpuścić dziennie więcej jak 5—8 kół, gdyż z powodu porannych mgieł i z dalekich odległości przybywających myśliwych, dopiero około godz. 10 można było rozpocząć łowy. Obszar pojedyńczych kół wynosił 500—800 mórg magdeburskich, czyli 120—200 hektarów, a na jednego myśliwego wypadało 10—14 naganiaczy, po 30—40 kroków od siebie oddalonych. Zrozumiałem jest zatem, iż z koła mającego 3—5 kilometrów obwodu, wymykało się mnóstwo niestrzelanych szaraków, ku uciesze właścicieli polowań ze względu na przyszłoroczny narybek, a ku smutkowi aspirantów do tytułu króla polowania. Na berło królewskie można było sobie zasłużyć, kładąc 40—55 sztuk. Do zwycięstwa przyczyniały się nie tylko celne, ale i dalekie strzały i poza szybką orjentacją — sprawne wykorzystanie nabiegu szaraków. O ile pamiętam, należeli do grona myśliwych: hr. Gustaw Breza, inż. Bronisław i Roman Brukwiccy, dr. Etkowski, P. Cichocki, P. Dąbrowski, P. Dziewulski, Kazimierz Gozimirski, Roman i Tadeusz Janta-Połczyńscy, Stefan Kuczyński, P. Lipowicz, dr. Modrzejewski, Zdzisław Orłowski, hr. Henryk Plater-Zyberk, prezes Pluciński, hr. Jerzy Potulicki, hr. Włodzimierz Raczyński, P. Rembowski, P. Robowski, hr. Wiktor Szołdrski, Władysław Szułdrzyński, ks. Adam Woroniecki, nadleśniczowie inż. Woszczyński i Zell.

Więcej lub mniej zasłużonych myśliwych oczekiwała wieczorem nowa przyjemność, podziwiania w gronie wielu sproszonych gości, nie tylko pięknego i powabnego kwiatu kobiecego przy wykwintnej biesiadzie, ale też delektowania się przysmakami, których nie szczędziły spiżarnia i piwnica. W miłej pogwarce utrwaliłem me przekonanie o wysokiej wartości naszych ziemian kresowych, których praca i wytrwałość stanowią główne filary dobrobytu Ojczyzny. To też odjeżdżałem z łowów w Wielkopolsce z uczuciem podziwu i wdzięczności za gościnność i mile spędzone chwile, które mi na zawsze pozostaną w pamięci.

gen. Franciszek Latinik

Pieniaki, 24 stycznia 1930

Dnia 16 i 17 stycznia odbyło się polowanie na dziki w 9 strzelb u p. Stanisława Cieńskiego w Pieniakach. Na 42 strzały padło 10 dzików. Dzików było dużo.

W polowaniu wzięli udział pp.: ks. Andrzej Lubomirski, hr. Juljusz Bielski, ks. Roman Czartoryski, Józef Jabłonowski, Józef Cieński, hr. Roman i Adam Bielscy, Włodzimierz Barański i Ludomir Cieński.

Marjan Wesołowski
nadleśniczy

Gródek Jagiell. 20 stycznia 1930

Szanowna Redakcjo!

Przedkładam niniejszem odpis listu p. Z. S. do mnie:

„Na obszarze gm. Teklówka, pow. Zaleszczyki w kartoflach dworskich spotkałem dnia 13 października 1905 r. stadko kuropatw, z których cztery sztuki odstrzeliłem. Kuropatwy te różniły się znacznie od naszych, w szczególności były nieco mniejsze — na niższych więc biegach o krótszym więcej zbitym zaokrąglonym korpusie, co do ubarwienia zaś, to ogólne tło szarej naszej kuropatwy było u nich nieco jaśniejsze, a kolor czerwony naszej kuropatwy był u nich zastąpiony kolorem prawie czarnym, szczególnie ładnie przedstawiała się podkowa u starego kogutka ustrzelonego wraz z innymi. Były to wogóle bardzo ładne ptaki. Postąpiłem sobie nieoględnie, bo już po drodze do domu zrobiłem z nich prezent, zostawiwszy sobie jedynie ogon kogutka na piórko do kapelusza. Dopytywałem się później wszystkich znajomych myśliwych, coby to mogła być za odmiana kuropatwy, nikt mi jednak wyjaśnienia udzielić nie mógł — jedynie p. Kalkus oświadczył, że w czasie swej działalności miał do spreparowania trzy sztuki takich kuropatw, nie mógł atoli odnaleźć nazwisk właścicieli w swych książkach".

Z prośbą o wyjaśnienie zwrócił się z powyższem pismem do mnie p. Z. S. wytrawny myśliwy, na wiarę zasługujący, delegat Towarzystwa M. Ł. z roku 1905 na powiat Zaleszczycki. Ponieważ sam tej kwestji wyjaśnić nie jestem w stanie, upraszam o to Szanowną Redakcję, ewentualnie po poddaniu tej sprawy dyskusji na łamach swego pisma.

Dr. Henryk Malsburg

Ubarwienie kuropatw podlega często znacznym zmianom. Spotyka się ptaki ciemniej lub jaśniej upierzone, zależnie od okolic, a więc prawdopodobnie i od gleby, na której się wychowują; ubarwienie takie nawet z dodatkiem pewnej pstrocizny może być też przypadkowe. Zwykle te odchylenia od normalnego ubarwienia ustają po pierwszej lub drugiej zmianie upierzenia. Podlegają więc im przeważnie egzemplarze młodsze. *Red.*

Styczeń 1930

W dniach 20, 21 i 22 stycznia b. r. odbyło się polowanie w Ordynacji Poturzyckiej Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego.

Zasłużona reputacja tej ślicznej kniei zajaśniała nowym blaskiem, gdyż znalazło się na rozkładzie 19 dzików i 2 lisy, do których prawie nie strzelano ze względu na dziki otropione w każdym miocie!

Św. Hubert otacza widoczną łaską starania i zasługi około łowiectwa obecnego Ordynata, gdyż polowanie odbyło się przy ślicznej pogodzie i na śniegu, który jest największą okrasą łowów zimowych.

Z miłem zdziwieniem trzeba było podziwiać bardzo dobry stan sarn i zajęcy we wszystkich rewirach Poturzyckiej kniei. Dowodzi to, jak skutecznie potrafi ratować zwierzynę dobry personel łowiecki nawet podczas tak srogiej zimy jak zeszłoroczna.

Wieczory po polowaniu miały swój niezwykły urok, dzięki ujmującej gościnności Gospodarza, toteż szczęśliwi uczestnicy tych królewskich łowów wywieźli z Poturzycy wdzięczne i niezatarte wspomnienia.

A. S.

Dublany w styczniu 1930 r.

W dniach 18 i 19 stycznia b. r. odbyło się polowanie na dziki, urządzone przez p. Stefana Gostomskiego w rewirach Iłów i Stulsko. Upolowano pierwszego dnia w 8 strzelb 3 mioty, drugiego dnia w 6 strzelb 4 mioty. Dzięki świeżej ponowie i energji Gospodarza w prowadzeniu polowania padło 5 dzików, w tem jeden gruby odyniec o wadze około 200 kg. Królem polowania został sam Gospodarz, mając na rozkładzie odyńca i wycinka. Wszystkie spotkania z dzikami dały dodatnie rezultaty.

Zbigniew Sander

Lwów, 2 Lutego 1930

Wieści z Wołynia

Pewnie, że Małopolska może się szczycić swojemi rewirami, swoją ilością niedźwiedzi w Karpatach, swoim jeleniem królem gór, emocjonującym urokiem rykowiska, przecudnym gotykiem siędzieliną pokrytego bukowego lasu i ilością gatunków zwierzyny. Niżej podpisany na kilkudniowem polowaniu w Lisowicach koło Stryja, ubił sam 14 (czternaście) rodzajów różnorodnej zwierzyny.

Ale Wołyń niełatwo odstąpi palmę pierwszeństwa! Wszak ma on jedynego w Polsce łosia, który w ordynacji dawidgródeckiej dzięki wysokiej kulturze i opiece łowieckiej ks. Karola Radziwiłła rozmnożył się do stanu ponad sześćdziesiąt sztuk.

Ma on też swoje niedźwiedzie, liczne rysie, które niejednego uszczęśliwiły łowca, kładąc swe przecudne centkowane futerko, jako rzadką zdobycz myśliwską u stóp jego. Na Wołyniu są przepyszne toki głuszców i cietrzewi, chmary kaczek, a o dzikach opowiem.

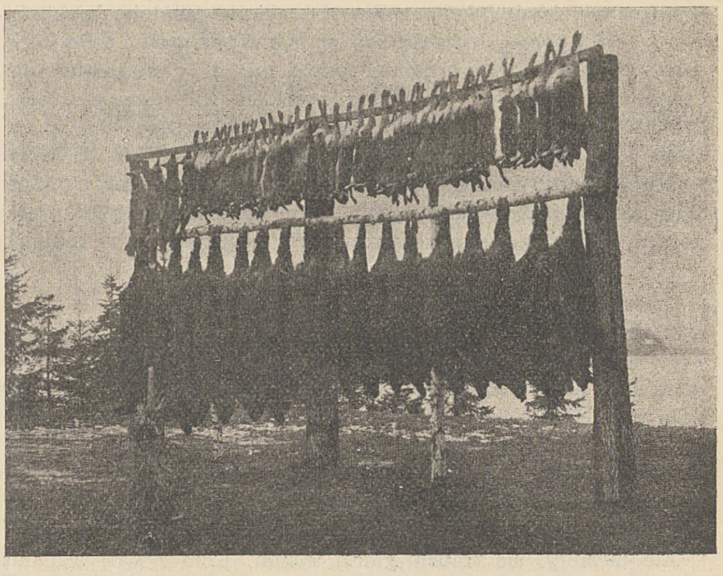
Last not least.

Dość nadmienić, że w państwie poryckiem na trzydniowem polowaniu padło 25, a w Książęcej Otyce 60 dzików, nie piszę o rekordach dawidgródeckich, przed któremi każdy z myśliwych zdejmuje czapkę.

Zachęta do przyjazdu do kochanego Mieczysława hr. Chodkiewicza do Młynowa, przysporzyła mi dwa zaszczytne zaproszenia do pp. hrabstwa Aleksandrów Ledóchowskich w Smordwie i do hrabiego Jerzego Jezierskiego do Worodniowa.

W Młynowie mieliśmy polowanie we dwójkę z pieskami. Dzików zatrzęsienie. W wymarzonym rewirze Użyniec nadleśniczy Halicki przyjmuje nas z kwaśną miną, gdyż ani kłapcia śniegu i tropienie nader utrudnione. Dziki są, włóczą się i nawet sławny tropiciel Osiejewski nie chce raportować na pewniaka, a blagować nie umie.

Zakładamy pierwszy miot, w którym psy mijają legowiska. Niestety, nie ma starego profesora Dunaja. Niecny czyn psich synów kłusowników zgładził go ze świata podstępnym śrótowym strzałem opodal jego siedziby na leśniczówce. Takiego drugiego pieska prędko nie będzie. Nie uznawał innej zwierzyny jak dzika, węch niebywały, wytrzymałość przedziwna, bez względu w którym miocie go podkładano, szedł wrodzonym instynktem, tam, gdzie napewno dziki były. Przy miocie sam jeden trzymał i naszczekiwał dzika przez cztery godziny i tylko zapadająca noc dała kres dalszej pogoni. Szlachetny odruch właściciela stawia na jego grobie w dziczym miocie kamień pamiątkowy, ryjąc na nim nazwiska podłych, którzy prawowierną brać myśliwską pozbawili takiego towarzysza.



Rezultat łowów w Smordwi

Podjeżdżając umiejętnie, dwa razy trafiamy na czeredę 17-tu sztuk, z których ciężko postrzeliwam jedną sztukę, trafiając drugą spóźnionym strzałem w biodro. Emocjonujący podjazd ciężko rannej sztuki na głos piesków i pamiętna dla mnie zabawa, przy dobiciu dzika, na którym wciąż pieski siedzą i włóczą go po lesie, tak, że niema możności umieszczenia spokojnie dobijającej kuli. Dopiero nie groźna szarża ciężko przemęczonego dzika, oddzieliła go od psów i zezwoliła mi na danie mu „le coup de grâce".

Nadmienić muszę myśliwską orjentację i rutynę podjeżdżacza Porfira, któremu głównie zawdzięczam możność dobicia postrzałka.

Na drugi dzień jedziemy do Smordwy. Przemili gospodarze przyjmują nas na schodach przepysznego ogromnego pałacu, położonego malowniczo nad jeziorem. Pałac zniszczony niezmiernie przez wojnę zdołali już w znacznej części odbudować i urządzić, co w naszych czasach podziwu godne.

Samochodami jedziemy do lasu, gdzie w przyzwoitej odległości od rewiru Marjanka oczekują nas sanie z pierwszorzędną fornalką (jakiej się w Małopolsce nie widuje), która po bezśnieżnej ziemi z podziwu godną wytrzymałością woziła nas po górzystej kniei.

Raport: dzików około 40. Bierzemy miotów 10. W dwóch nie było dzików. Ubijamy 14, w tem dwa spore odyńce, trzy wycinki. Każdy z uczestników łowów strzelał do dzików, ba nawet do sześciu. Gospodarz rozstawiał osobiście i hojną ręką rozdzielał spotkania. Wysokie uznanie jego znajomości kniei, przesmyków dziczych; co za pański giest, by wszystkich obdarzyć spotkaniem. Iście królewskie łowy! Święty Hubert w niebie napewne żałował, że na te gody nie był proszony, bo niechybnie, wiedząc jak się u Ledóchowskich poluje, byłby na nie podążył.

Tak zwana huczka bezgłośna, żadnych nieludzkich ryków na widok umykającego zajączka, słychać jedynie dyskretne „dyki, dyki" przy natrafianiu na stado czarnego zwierza. Jedna zwarta, równa ława wychodzi milczkiem na linję myśliwych, a i tu nie gawędzi między sobą, kierowana do następnego ostępu, bez słowa tam podąża. Podkreślić trzeba pracę straży, która konno

i pieszo pilnowała porządku, bez przekleństw i nawoływań. Ale to się samo nie robi. Niemało trudu zadał sobie p. leśniczy Bielawski, by pod światłem kierownictwem gospodarza, doprowadzić do takiej perfekcji no i takiego rezultatu. Jeden, jedyny dzik przebił się przez naganiaczy, a jakaż miła ta poważna cisza w kniei, gdzie prócz palby licznych strzałów, słychać tylko przemykającą zwierzynę. Gospodarzowi myśliwska cześć! — Rozkład podam poniżej.

Wspaniałe konie, w wymyślne zaprzężone patelnie, bryki, kocze, wózki i powozy odwożą nas wprost wyścigowem tempem do domu. Cóż za wspaniałe konie, jaka z nich bije szlachetna krew i umiejętne ruchliwe, zdrowe, a dostatnie wychowanie. Uprząż bałagulska z mosiężnemi okuciami, bardzo typowa dla wołyńskich stron. Jako eks-żołnierz nie mogę pominąć bez pochwały, wzorowego utrzymania koni, wozowni i uprzęży, jak w cesarskich stajniach. Pogawęda myśliwska po subtelnym obiedzie i przy kominku odzwierciadla we wszystkich, że jutro znów polujemy w rewirze Brzezina.

Dzików mniej, bierzemy miotów cztery. W jednym dziki wyszły skrzydłem. I znów gospodarz w swej staropolskiej gościnności wyróżnia spotkaniem swych wybrańców. Pada piękny odyniec, duża pojedyńcza locha, szczęściem jałowa i przelatek. Przemiła pani domu, chodzący urok i dystynkcja, obdziela szczęśliwców swem towarzystwem i wybitnie myśliwskiem zachowaniem się na stanowisku, nie pokazuje dzików czerwoną parasolką i nie boi się strzału. Z takim towarzyszem można z pełnem zaufaniem stać na dziczem stanowisku.

Ale niestety, sic transit gloria mundi! Koniec tych wspaniałych, królewskich łowów, na których ubito: Dzików 17, lisów 3, a mimoto zajęcy 30. Czterech myśliwych wróciło z trzema dzikami na rozkładzie. Parlez moi du peu!

Wziąwszy pióro do ręki w imieniu szczęśliwych uczestników, składam Szanownym Gospodarstwu za wspaniałą gościnę w kniei i polskim dworze serdeczne „Bóg zapłać"! Sam proszę świętego patrona, abym nigdy w życiu nie stał w dziczej kniei na gorszych stanowiskach, niż to były w przepysznych rewirach państwa Smordowskiego.

A to nie koniec, mam jeszcze polować w lasach hr. Chodkiewicza, w Antonowcach.

W. G. S.

Uwagi o ubezpieczeniu broni bezkurkowej

Niejeden raz słyszałem w opowiadaniach myśliwskich lub też czytałem w opisach łowieckich, jak to danemu myśliwemu strzał się nie udał, lub też wogóle nie strzelił, gdyż miał broń zabezpieczoną i nim się spostrzegł i bezpiecznik odsunął, było już za późno na strzał.

Sądzę, że możnaby temu zaradzić a mianowicie przez przyzwyczajenie się do noszenia broni stale zabezpieczonej i odsuwania bezpiecznika tylko w chwili podnoszenia broni do oka, a więc tuż przed daniem strzału. Sposób ten praktykuję od lat i nie zdarzyło mi się nigdy, by mi zawiódł, to jest, bym w chwili strzału miał broń zabezpieczoną, choćby nawet przy dawaniu strzału bardzo szybkiego i zupełnie niespodziewanego, co nieraz bywa i gdy wtedy najczęściej właśnie myśliwym zdarza się mieć broń nieprzygotowaną. Ponieważ to odbezpieczanie przy podnoszeniu broni do ramienia dzieje się na skutek przyzwyczajenia zupełnie automatycznie, jest ono najzupełniej dostateczną gwarancją, że nie zawiedzie, gdyż nie trzeba przedtem już o tem myśleć. W podobny sposób, jeżeli się odejmuje broń od oka a z jakiegokolwiek powodu nie wystrzeliło, całkiem automatycznie zasuwa się bezpiecznik z powrotem.

Poza wymienioną już korzyścią, że broń ma się zawsze przygotowaną do strzału w danym momencie, dochodzi jeszcze moment wysokiego bezpieczeństwa, noszenia stale broni zabezpieczonej, czy to na stanowisku, czy też przy polowaniu ruchomem, gdzie zwłaszcza wtedy niebezpieczeństwo jakiegoś wypadku jest o tyle większem.

Sądzę, że starszym myśliwym może trudno nieco byłoby przyzwyczaić się do tego sposobu, ale młodzież, zaprawiająca się dopiero do myślistwa, powinna bezwarunkowo nauczyć się polowania z bronią zabezpieczoną i odsuwania bezpiecznika dopiero z chwilą składania się.

Antoni Staniewski

Z Oddziału Małop. Tow. Łowieckiego w Krakowie

O ochronie drobnej zwierzyny użytkowej

Ciąg dalszy

Chcąc puhacza pobudzić do ruchów, celem ściągnięcia nań większej uwagi ptactwa, używa się berła huśtającego z ruchomem siadłem, u którego na jednym końcu zawiesza się ciężarek o wadze puhacza, zaś od drugiego końca, gdzie siedzi puhacz, prowadzi poprzez kółko, umieszczone u spodu słupka, sznurek aż do kryjówki. Myśliwy od czasu do czasu pociąga za sznurek, puhacz zaś, posuwając się zaraz na wzniesiony koniec siadła, bije przytem skrzydłami; przy popuszczeniu sznurka powtarza się to samo. Może być także berło do tego celu użyte z nieruchomem siadłem, a to w ten sposób, że słupek berła wpuszczony jest wolno do osobnej pochwy drewnianej (zbitej z 4 listew), którą wtyka się w ziemię. Sznurek przymocowany do spodu słupka przechodzi ponad rolką umieszczoną w małym otworze wyciętym w połowie wysokości pochwy, oraz pod drugą rolką umieszczoną nazewnątrz u spodu pochwy. Przez pociąganie i opuszczanie sznurka całe berło w pochwie wraz z puhaczem podnosi się i opada, puhacz zaś, zwłaszcza przy opadaniu, bije skrzydłami, jakby w obawie utraty gruntu pod nogami.

W ostateczności w braku jakiegokolwiek sztucznego siadła można usadowić puhacza na jakim kopczyku, kupce kamieni lub t. p. wzniesieniu a także na równej ziemi.

Używają, zamiast żywych, także wypchanych puhaczy, ewent. ze sztucznym mechanizmem do wykonywania ruchów, atoli oddziaływanie ich na drapieżne ptactwo jest słabsze, pomijając już brak markowania nadciągającego drapieżnika przez żywego puhacza.

Najlepszą porą do polowania jest wiosna i jesień, zaś na wrony, a o te głównie chodzi, nadaje się każda pora roku, szczególnie w rannych godzinach i przedwieczorowych. Podczas polowania trzeba ciągle uważać na zachowanie się puhacza, które wskazuje zwykle na zbliżanie

się drapieżnika nawet z większego oddalenia, kiedy myśliwy sam niczego jeszcze nie spostrzeże. Posługiwać się należy nabojami bezdymnemi — nie można wystawiać zbytnio przez okienko luf, zwłaszcza świecących — padających drapieżników nie trzeba podejmować aż po ukończeniu polowania— postrzałki należy dostrzeliwać przez okienko, nie wychodząc z ukrycia.

Pożyteczne dla rolnictwa i mniej szkodliwe ptaki muszą być wogóle oszczędzane, jak sokół-pustułka (poznać łatwo po częstem i dłuższem „pławieniu się", t. j. zawisaniu w powietrzu — niestety w skutek nieporozumienia pada często ofiarą przy polowaniu z puhaczem), sokół-pustułeczka, sokół-kobczyk (sokolik), myszołów zwykły i włochaty (myszołowy są znacznie większe od pustułki i również „pławiące się", choć nie tak często i krócej — także wskutek nieświadomości padają ofiarą ze szkodą dla rolnictwa), pszczołojad i orlik pospolity (krzykliwy), a przy tej sposobności wspomniemy tu również o nocnych ptakach, t. j. wszystkich pożytecznych sowach, z wyjątkiem szkodliwej sowy uralskiej i samego puhacza, które jednak, jako ptaki naogół znacznie już przerzedzone, w tych zwłaszcza okolicach, w których rzadko się pojawiają, winny być także oszczędzane.

W „Łowcu Polskim" z 31. VIII. 1929 str. 602, znajduje się przypisek redakcji, że ptaki powyższe, w szczególności drobne sokoły i pożyteczne sowy, pominięte zostały świadomie w prawie łowieckiem, ponieważ ich ochrona należy do ustawy o ochronie ptaków, a obowiązujące przepisy z tej dziedziny przez prawo łowieckie nie zostały uchylone.

(C. d. n.) *Stanisław Morawetz*
sekretarz



Komunikaty

Starostwo powiatowe w Krakowie
L. 10/Ł. ex 1929. *Kraków, dnia 16 grudnia 1929*

OKÓLNIK

Do Wszystkich Panów Naczelników gmin w powiecie i Pana Burmistrza m. Skawiny.

Doszło do wiadomości tutejszego Starostwa, że w tutejszym powiecie w niektórych miejscowościach rozszerza się plaga kłusownictwa przez osobników, którzy nie zdając sobie sprawy z upadku zwierzyny łownej, tępiąc wszelkiemi środkami niedozwolonemi jako to: sidła, druty, jamy, otrutki oraz zatrzaski i t. p., wyrządzają tym sposobem nieobliczalne skutki w zmniejszaniu się zwierzostanu i ptactwa łownego.

Ażeby zapobiec i przeciwdziałać rozszerzaniu się kłusownictwa, zarządzam następująco:

Wszyscy zaprzysiężeni strażnicy kultury krajowej jak również miejscowi strażnicy polowi są obowiązani w myśl złożonej przysięgi, czuwać ściśle nad przestrzeganiem niniejszego rozporządzenia i o każdej porze donosić swej Władzy, ewentualnie Policji państwowej lub tutejszemu Starostwu, o każdym podejrzanym osobniku trudniącym się kłusownictwem.

Po zachodzie słońca nie wolno nikomu ze strzelbą w ręku chodzić po okręgu łowieckim z wyjątkiem zaprzysiężonych strażników, tudzież z wyjątkiem okoliczności z art. 47 ustawy łowieckiej. — Wydawanie pisemnych zezwoleń może nastąpić tylko tym osobom, którzy posiadają warunki z art. 27 ustawy łowieckiej. Na naczelników gmin kładę obowiązek, by o wszelkich doniesieniach lub spostrzeżeniach donosili mi bezzwłocznie ustnie lub pisemnie, celem dalszego postąpienia w myśl istniejących przepisów.

Zarazem polecam Panu Naczelnikowi, by niniejsze rozporządzenie ogłosił publicznie w tamt. gminie i porozumiał się w tej sprawie z tamtejszym kierownikiem szkoły, celem rozpowszechnienia wydanego zarządzenia.

Niezależnie od powyższego oznajmiam, że za wszelkie przekroczenia popełnione w tym kierunku będę pociągał winnych do najsurowszej odpowiedzialności karnej w myśl rozporz. Prez. Rzpp. z 1929, o prawie łowieckiem.

Starosta powiatowy
Orłowski mp.

Od Delegata naszego Hieronima hr. Tarnowskiego otrzymaliśmy następujące pismo Starostwa w Nisku, które podajemy do wiadomości:

Świetne Starostwo w Nisku!

W tutejszym rejonie łowieckim zaczyna się szerzyć trucie lisów, oczywiście celem bezprawnej sprzedaży skórek lisich. I tak: przed niedawnym czasem leśny Walenty Wyka z rewiru Rudnik znalazł podczas obchodu kapsułkę zawierającą strychninę (jak to zostało stwierdzone przez leśniczego, p. Mieczysława Korasiewicza). W dziesiejszym dniu zaś włościanin z Grobel, Olko przyniósł mi lisa znalezionego przezeń na łące. Analiza wykazała, że lis ten został otruty. Tem tłumaczy się znaczne zmniejszenie się zwierzostanu lisiego, skonstatowane podczas tegorocznych polowań.

Jakkolwiek nie otrzymałem w charakterze Delegata Małop. Tow. Łow. doniesień o podobnych wypadkach z innych okręgów łowieckich, to jednak przypuszczam, że podobne wypadki muszą zdarzać się i gdzieindziej. Dlatego jako Delegat Małopolskiego Tow. Łowieckiego upraszam Świetne Starostwo, by nakazało Policji Państwowej przeprowadzać perjodyczne rewizje u osób trudniących się handlem skórek na futra, a przy rewizjach tych konfiskować wszelkie skórki, tak lisie jak i zajęcze, w których nie byłoby śladu śrutu (dziurek porobionych przez śrót). Handlarzy takich podawałaby następnie Policja Państw. do Sądu za nabywanie rzeczy kradzionych, boć jasnem jest, że skórka niepodziurawiona śrótem

może pochodzić jedynie z lisa otrutego lub zająca złapanego na wnyk, zatem ze zwierząt zabitych nie przez właściciela, względnie dzierżawcę polowania, lecz przez kłusownika, wnykarza lub kłusownika-truciciela. Przy rozprawie sądowej należycie prowadzonej musiałoby wyjść na jaw, od kogo oskarżeni kupowali skonfiskowane skórki, a w ten sposób łatwo będzie dowiedzieć się nazwisk wnykarzy i trucicieli i pociągnąć ich do odpowiedzialności karnej.

Rudnik nad Sanem 12 XII 1929

(—) *H. Tarnowski*
Delegat M. T. Ł.

STAROSTWO w NISKU
L: 11269 29. 2.

Nisko, dn. 19 grudnia 1929 r.

WSZYSTKIM POSTERUNKOM P. P.
w powiecie

udzielam do wiadomości pismo Delegata Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego z poleceniem jaknajściślejszego śledzenia za osobami trudniącemi się wnykarstwem, truciem zwierzyny i łowieniem zwierząt innemi niedozwolonemi sposobami, jak również badanie pochodzenia skórek u osób trudniących się handlem skór na futra. Winnych należy bezzwłocznie donosić Starostwu, względnie, o ile sprawa należy do postępowania sądowego odnośnemu Sądowi grodzkiemu. Za ścisłe wykonanie czynię P. Komendanta osobiście odpowiedzialnym.

Starosta Powiatowy:
(—) *Skarzyński*

STAROSTWO w NISKU
L: 11269/29. 2

Panu Hieronimowi Tarnowskiemu, właścicielowi dóbr
Delegatowi Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
w Kopkach
do wiadomości.

Starosta Powiatowy:
(—) *Skarzyński*

W sprawie podatku od broni myśliwskiej

Najwyższy Trybunał Administracyjny nadesłał już odpis swego wyroku z dnia 2. grudnia 1929 r.

Wypływa z niego, jak już pisaliśmy, że broń myśliwska, posiadana odpowiednio do koniecznej potrzeby przez właścicieli i dzierżawców polowań, nie może być opodatkowywana jako przedmiot zbytku. Co jest konieczną potrzebą, Trybunał bliżej nie określił.

Z pewnemi więc odstępstwami Trybunał uwzględnił stanowisko skargi. Jak dalece zaś wyrok ten jest rozstrzygający, wypływa z tego, że, jak dowiadujemy się z najbardziej konkretnych źródeł, Magistrat m. Warszawy na skutek tego wyroku ma w najbliższym czasie rozpatrzeć i zadecydować sprawę zniesienia wogóle podatku od broni myśliwskiej, który w skromnych granicach, jakie mu zakreślił wyrok Najwyższego Trybunału Administracyjnego, stracił jakiekolwiek praktyczne znaczenie. Niewątpliwie i inne samorządy postąpią podobnie. Prenumeratorzy „Łowca Polskiego“ mogą otrzymywać odpis wyroku w Redakcji bezpłatnie.

W. W. Garczyński

„Łowiec Polski” ogłasza następujący komunikat w sprawie Międzynar. Wystawy Łowieckiej w Lipsku:

Poraz wtóry odzywamy się z apelem do wszystkich Szanownych Braci z pod znaku św. Huberta.

Międzynarodowa Wystawa Łowiecka w Lipsku już zapowiedziana. Już od połowy marca należy wysyłać zgłoszone eksponaty do Lipska. Wszelkie koszty od granicy państwa niemieckiego ponosi Komitet Wystawy w Lipsku. Wszystkie narody świata kulturalnego biorą udział w wystawie futer i w wystawie łowieckiej. Niestety, na nasze odezwy wysłane do rąk poszczególnych myśliwych, dotychczas mała ilość dała odpowiedź. Jeżeli nie zgłosi się odpowiednia ilość wystawców, Polska nie będzie w możności zgłosić swego udziału do Lipska.

Nawet Sowiety zamówiły 2.250 metrażu na wystawę międzynarodową.

Czyżby polski świat łowiecki miał świecić pustkami tam, gdzie wszystkie narody staną do uczciwych zawodów?

Jeszcze raz wzywamy wszystkich zainteresowanych zamieszkałych na Kresach Zachodnich Rzeczypospolitej (Wielkopolska, Pomorze i Górny Śląsk) i upraszamy śpiesznie nadsyłać zgłoszenia tylko pierwszorzędnych wybitnych eksponatów do sekretarjatu Wielkopolskiego Związku Myśliwych w Poznaniu, ul. 27 Grudnia 19.

Zgłaszać można:

1) trofea łowieckie, broń myśliwską, narzędzia łowne z czasów przedhistorycznych aż do czasu wynalezienia prochu 1330 r.;
2) te same przedmioty z czasów od 1330—1928;
3) zbiory hodowlane i naukowe;
4) obrazy i plastykę;

Wystawa Międzynarodowa rozpoczyna się w maju i trwa do września 1930.

Koszta połączone z metrażem ściennym i wysyłką ponosi Komitet Wystawy.

Ubezpieczenie od ognia, kradzieży, przewozu i wszelkich innych niebezpieczeństw ponosi również Komitet Wystawy.

Zarząd Wielkop. Związku Myśliwych

Międzynarodowa Wystawa Łow. w Lipsku 1930

Do Komitetu honorowego Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w Lipsku zostali wybrani z Polski:

Dr. K. Bertoni, pełnomocny Minister i Komisarz Rządu dla Ogólno-polskiej Wystawy Krajowej, Poznań; podpułk. K. Chłapowski, Mościejewo; Hr. Hochberg-Kruczgoraj, Zamek Goraj.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4 - 32